NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego:“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 22. | Bydgoszcz, niedziela 24 października 1909. | Rok II.

Podanie gminne o założeniu miasta Bydgoszczy.

(Powieść).

O wieści gminna! ty arko przymierza!
Między dawnemi i młodszemi laty:
W tobie lud składa broń swego rycerza,
Swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty.
Konrad Wallenrod.

Pod Bydgoszczą, nie daleko za miastem, leżą rozwaliny starego zamku. Każdy przechodzień i wędrowiec pyta z ciekawością, co to był za gród, kto go założył, kto w nim mieszkał, kiedy i jakim sposobem runął w gruzy. Ale próżno chcesz nasycić ciekawość, nic historycznego, nic pewnego się nie dowiesz, oprócz dziwnej, fantastycznej powieści gminnej, która się nad zwaliskami zamku unosi, jak dusza nad opuszczonem ciałem, dawnem swem mieszmieszkaniem. Jeżeliś jest tylko historykiem, suchem badaczem, nie dowiedziawszy się nic pewnego, historycznego, opuść te gruzy, są one tylko pomnikiem dawnej swych Panów świetności i potęgi, leżącym dziś w gruzach, bez życia. Lecz jeśli ma przystęp do twojej duszy i serca fantazya naszego ludu, jeśliś ukochał poetyczne marzenia gminne, nadające życie posępnym murom, to posłuchaj, co ci opieje powieść gminna o zamku leżącym w gruzach. Pierwszy starzec, schylony brzemieniem lat, wlokący się o kiju, lub pasterz pędzący trzodę na rozległe błonia, opowie ci następne zdarzenie, ale z taką wiarą, z takiem uczuciem swoich słów, że sam będziesz musiał wierzyć, będzie ci się zdawało niepodobnem, aby to, co słyszysz, miało być tylko podaniem wymarzonem przez lud, a nie rzeczywistą prawdą.

Słuchaj powieści ludu; dziwna to, dziwna powieść:

Ledwie pierwszy zmrok zapadnie, ledwie się uciszy dzienny gwar i wrzawa, już się nikt nie poważy przechodzić koło starego zamku, czasem tylko jaki junak, pobożny starzec lub niewiadomy podróżny przechodzi tamtędy, ale biada mu, jeżeli idzie o spóźnionym czasie, bo dziwne się tam dzieją rzeczy. Do północy wszędzie panuje cisza grobowa, wiatr zupełnie cicho szeleści, nie śmie nawet poigrać z listkami, ani świercz nie zaskwierczy, ani puchacz nie zahuka, ani sowa ponocna nie zawoła przeraźliwym głosem: pójdź! pójdź! Lecz ledwie stłumionym dźwiękiem zabrzmi zegar na wieżycy miasta godzinę dwunastą, ową godzinę duchów i nocnych zjawisk, natychmiast zaszumi wiatr i popędzi kupą uschłego liścia, jak gdyby mu kto wodze popuścił; naraz zaryczy woda, jakby przerwała najokropniejszą tamę, a nagły poświst wichru zbudzi złowróżbowe sowy i wystraszy drobne ptastwo.

Jeżeli noc pogodna i jasna, wnet zasuną posępne i czarne chmury bladą twarz księżyca, wnet sowa zbudzona zawoła złowróżbe: pójdź! i zaśmieją się puchacze. Potem dadzą się słyszeć najprzód, jakiś dziwny szum, potem głośne niezrozumiałe słowa podadzą i odbiją echa. Potem słychać głos kobiety, pełen rozpaczy i gniewu; naraz przerywa szum wichru głośny krzyk starca i jęk przeraźliwy, powtarzany, który coraz to słabiej się rozlega, nareszcie ucicha i zupełnie kona. Poświst wichru zachuczy jakoby ostatniem wysileniem; zcichnie na chwilę, uśnie nareszcie zupełnie i tak chwil kilka cicho, spokojnie wieje. Nagle znów zerwie się wicher, zatrzeszczą drzewa; zdaje się, że wszystkie połamane upadają na ziemię i że gruzy zamku zawalają się zupełnie. Głośny szyderski uśmiech: „cha! cha! cha!“ zamiesza się do poświstów szalonego wichru; powtórzą go echa okolicznych lasów i zniknie na błotach i bagnach rzeki Noteci.

Dziewica w czarnej szacie, z rozczochranym czarnym włosem, spadającym na ramiona i zasłaniającym twarz, z skrwawionym sztyletem w ręku, z jękiem rozpaczy, występuje na gruzy zamku; błyska sztyletem, zwraca go do białej piersi, wtem ugodzi na stronę, jak gdyby chciała przebić powietrze; potem westchnie głęboko, wyda jakiś podziemny jęk rozpaczy, przebiega po gruzach, staje i pogląda z westchnieniem ku Wiśle; zdaje się, że oczekuje kogoś. I tak błądzi, i tak błądzi, i rozpacza, dopóki kur nie zapieje! Za pierwszem zapianiem kura, znika dziewica, wszystko się uspokaja i następuje owa grobowa, jednostajna cisza; czasem przebiegnie błędny ognik na błotach około zamku i znów wszystko jak dawniej.

Ale słuchaj dalej, jeśliś ciekawy, co ci mówi powieść gminna:

Za dawnych, bardzo dawnych czasów, stał na tem miejscu, gdzie dzisiaj tylko gruzy spostrzegasz, obronny, okazały zamek. Pan jego, tyran niemiłosierny, gnębił ludzi i napadał podróżnych lub płynących Wisłą z towarami i żywnością. Dla tego komnaty jego błyszczą od złota i srebra; zabranej broni i drogich

ubiorów wszędzie pełno, piwnice zapełnione rozmaitemi winami; wszędzie dostatek, przepych, ale przytem niełaska boża; nie widać nigdzie błogosławieństwa pańskiego. Pan skinie i wnet płynie krew, spadają głowy jeńców; rozkaże, a wnet sypią się wały, wznosi się okop zamku; pożąda zabawy, a wnet najemni lub wzięci do niewoli gęślarze zanócą pieśni, zabrzmią cudnie na gęślach. Ale biada, jeśli który zaśpiewa piosnkę o niedoli, o wolności; biada mu, jeśli chociaż pozornem słowem obrazi ciemiężyciela! Na odgłos trąby liczna czeladź (błyskająca stalistą zbroicą) dosiędzie litewskich rumaków i stoi w gotowości do boju, czekając na rozkazy pańskie.

Tak upływają dni jedne po drugich; pan zamku się nudzi i szaleje, a dla rozrywki wypadnie z zamku na rozboje i powróci, i znów się gniewa i nudzi. W zamku cicho, ponuro; czasem szepcą pacholiki, użalają się jeden przed drugim, żałują zmarłej pani, niedługo powiedzieliby, że ją pan zamęczył, ale się boją nawet pomyśleć tego, żeby pan ich myśli nie odkrył. Umarła pani zamku i pochowana w zamku; została tylko jedna córka, anioł dobroci i piękności, włosy krucze, długie, oczy pałające boskim, uroczym blaskiem, lica pogodne i piękne, jak poranek wiosenny. Ona jedynie łagodzi i rozwesela gniewnego ojca, chętnieby mu życiem swojem okupiła spokojność duszy, chociaż nie kocha go szczerze tą miłością dziecinną, anielską, bo ją zraziły uciemiężania i rozboje ojca, zatruły kwiat młodości częste jego zbrodnie i morderstwa!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Życiorysy sławnych muzyków polskich.

Z życia Chopina.

Sala koncertowa była przepełnioną: afisze, głoszące, iż w koncercie weźmie udział ośmioletni artysta, zwabiły liczną publiczność, wyczekiwali wszyscy niecierpliwie pojawienia się malca. Wszedł wreszcie na estradę blady, drobny, z włosami jasnymi i marzącemi oczyma. Publiczność zaczęła bić oklaski, aby mu dodać odwagi, on nie zdawał się jednak być onieśmielony; skłonił się wszystkim obojętnie, poczem zbliżył się do fortepianu, chwilę siedział wpatrzony w przestrzeń w zadumie głębokiej, jakby słuchał lecących z daleka dźwięków, potem naraz w klawisze uderzył i z pod cienkich przezroczystych jego palców popłynęły tony rzewne, pełne uczucia.

Zdziwili się słuchacze.

— Taka biegłość, takie zrozumienie przedmiotu w grze ośmioletniego dziecka — będzie z niego z czasem wielki artysta, pierwszy polski artysta muzyczny.

A gdy dziecko powstało od fortepianu, grzmot oklasków uderzył o ściany sali na nowo i długo, długo nie ustawał.

Chłopiec zdawał się być wystraszony tym hałasem, niespokojnie oglądał się po estradzie i kłaniał się publiczności; wreszcie zbliżył się do niego mężczyzna w wieku średnim i ujął go za rękę.

— Chodźmy ztąd — szepnął mały.

I wyszli. Na ulicy przed Towarzystwem Dobroczynności, gdzie koncert się odbył, pełno było karet, dorożek i pieszych; przecisnęli się przez ten tłok i skierowali wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia ku zamkowi. Była to noc zimowa, mroźna, niebo iskrzyło się gwiazdami; na ulicy mało kogo spotykali. Szli w milczeniu; chłopiec wpatrzony w niebo, starszy w ciemną przestrzeń. Tu i owdzie w oknach kamienic, jakie mijali, błyszczały światła, większość jednak była już ciemna; tu i tam biegł z otwartych jeszcze kawiarni, lub restauracyi. Wtem w powietrzu rozległy się dźwięki dziarskiego mazura, leciały te tony z szynku narożnego; ktoś grał na skrzypcach. Mały przystanął.

— Posłuchajmy, ktoś tak ładnie gra — szepnął.

— Zaziębisz się, mróz silny — odparł starszy.

— Nie czuję tego — odparł chłopiec i nie ruszył się z miejsca; na bladą jego twarzyczkę wybiegł rumieniec, usta uśmiech ozdobił, wszystko dlań znikło w tej chwili, dusza jego cała w słuchu się zatopiła. Towarzysz jego rzekł kilka razy:

— Chodźmy już, zimno mi.

On nie słyszał go. Dopiero, gdy dziarski mazur ucichł, wówczas szepnął:

— Chodźmy,

Poszli dalej i znowu dążyli w milczeniu, dopiero, gdy weszli do mieszkania, mały odezwał się znowu:

— Pozwól mi, ojcze, zagrać owego mazura, zanim pójdę spać.

Ojciec nie bronił; on usiadł przed fortepianem i skoczny mazur zabrzmiał w pokoju. Na twarzy starszego odmalowała się radość.

— Ty będziesz artystą — rzekł, objął syna ramieniem i uścisnął go.

Tym małym wirtouzem był Fryderyk Chopin. Ojciec jego, Francuz rodem, guwerner w domu hrabiego Fryderyka Skarbka, ożenił się z Polką, p. Justyną Krzyżanowską, która wszczepiła w syna miłość do ziemi, która kolebką jego była. Chopin czuł się Polakiem. Urodzony 1810 r. na wsi w Żelazowej Woli, majątku Skarbków, od lat najmłodszych chwytał chciwie melodye sielskie, naśladował pieśni dożynkowe i wygrywał je na fortepianie. Widząc tę niezwykłą zdolność i ochotę do muzyki, rodzice postanowili kształcić syna w tym zawodzie, od wieźli go więc do Warszawy, umieścili w szkole publicznej, a prócz tego wybrali mu znanego wówczas nauczyciela muzyki, Czecha, Żyznego, który w godzinach wolnych od nauk dawał mu lekcye na fortepianie. Talent Chopina rozwijał się szybko, wkrótce stał się ulubieńcem Warszawy, gościem najznakomitszych jej salonów. Książę Adam Czartoryski, Zajączek, namiestnik Królestwa Polskiego, księżna Łowicka, żona W. Ks. Konstantego Pawłowicza, głównego wodza ówczesnego wojska polskiego, za-

praszali kolejno małego artystę, w którym poczęła się budzić zdolność do kompozycyi muzycznych; nietylko grał cudownie cudne obce arcydzieła, ale tworzyć poczynał własne.

Roku 1825 cesarz Rosyi, Aleksander I, król polski, nawiedził Warszawę. Chopin został zaproszony, aby wziął udział w koncercie amatorskim, urządzonym na cześć króla i zdobył sobie jego pochwałę. Wysłali go potem rodzice za granicę, by kształcił się wyżej. Pojechał na jakiś czas do Wiednia, potem do Pragi. Powrócił wreszcie; Warszawa witała go z nietajonem uwielbieniem, a kiedy pisma ogłosiły, iż Chopin wystąpi z koncertem, publiczność niemal bójki o bilety staczała.

Tłok znowu był w sali koncertowej, ale nie ciekawość ściągnęła do niej słuchaczy, tylko miłość dla tego, który niemal pod ich okiem wyrósł: pamiętało Chopina jeszcze wielu, jak chłopięciem małem po raz pierwszy wstąpił na estradę koncertową. Gdy ten sam mały chłopiec zasiadł dziś naprzeciw nich, jako dorosły mężczyzna, gdy zagrał im nie obcą rzecz, jak wówczas, ale swoją własną, z pod serca wysnutą, cudowny „Marsz pogrzebowy“, wówczas zapał, uwielbienie zakipiały w sercach i huczne oklaski zabrzmiały w sali, a jednocześnie u stóp mistrza polskiej muzyki spadł wieniec z kwiatów polnych rodzimych uwity, boć on z rodzinnych pieśni, z pieśni pól i łąk polskich stworzył arcydzieła swoje; jego polonezy, mazury, ballady zdradzały znamiona narodowego geniusza; nie tworzył wielkich rzeczy, lecz pełne czarów.

A gdy tak biją oklaski wszyscy, wśród rozgrzanej szlachetnym uczuciem publiczności, widać chłopię małe jedenastoletnie, które również klaszcze w dłonie, którego oczęta świecą zachwytem, którego usta zdobi uśmiech radości. Matka chłopię przyprowadziła na koncert, bo od lat niemowlęcych wróżby różne mówiły, iż chyba śpiewakiem będzie: toć nad kolebką tej dzieciny w pokoju jaskółka gniazdo uwiła i budziła każdego ranka szczebiotem śpiącego, a mały otworzywszy oczki nie krzyczał „jeść“, ale słuchał z uśmiechem na ustach cichutki, zadowolony z skrzydlatej śpiewaczki i krzywić się dopiero poczynał, gdy matka brała go z kołyski... Toć lat dwa miał zaledwie, gdy biegł do sali, gdzie stał staroświecki zegar i godzinę całą potrafił czekać cierpliwy, nieruchomy, siedząc na ziemi, by usłyszeć wreszcie, jak stary przyjaciel kuranty zacznie wygrywać... I dziś oto ani drgnął, słuchając Chopina, a teraz bije w dłonie z zapałem i szepcze do matki:

— Ach, mamo, żebym ja kiedyś tak grać potrafił!

— Ucz się, pracuj, a kto wie, może... — odpowiedziała matka — Bóg wspiera dobre chęci.

— Będę pracował — szepnął z siłą chłopiec.

Tym jedenastoletnim wielbicielem Chopina był Stanisław Moniuszko, syn kapitana wojsk polskich.

W roku 1830 Chopin opuścił Warszawę. Wyjechał najprzód do Londynu, potem do Paryża; tam zyskał niebawem rozgłos jako sławny fortepianista i kompozytor. Chopin nie wrócił jednakże więcej do kraju; rozwinęła się w nim choroba piersiowa, która zabrała zawcześnie tego wielkiego artystę. Umarł roku 1849, mając lat 40. Swoi i obcy płakali nad śmiercią jego, bo swoi i obcy uwielbiali go. Pochowany został w Paryżu, na cmentarzu Pere la Chaise, pomiędzy mogiłami sławnych mistrzów muzyki Belliniego i Cherubiniego; grób jego zasypany był kwiatami.

Dziecięca ufność.

Zmrok już zapada, i cisza w około,
W kaplicy pusto, tylko tam u progu
Dziecina klęcząc kornie schyla czoło,
Utajonemu cześć oddaje Bogu.

Ojciec jej błądzi w występku krainie.
„Módl się, ach módl się, matka jej mawiała,
Tu tylko pomódz Bóg może jedynie,
W modlitwie twojej nadzieja ma cała!“

Przed chwilą właśnie od księdza słyszała,
Że na ołtarzu Jezus, Bóg nasz, gości,
Do Niego spieszy więc dziecina mała,
Jemu przedstawić prośbę chce w ufności...

Wstaje, i nieśmiałym zbliża się krokiem
Do stóp ołtarza... Tam składa rączęta,
I czegoś szukać zda się ufnym wzrokiem
Wznosząc ku górze swe rzewne oczęta...

Stołek przystawia... trzewiczki zdejmuje,
Potem na samym ołtarzu przyklęka,
I do drzwi puka... potem nadsłuchuje...
I znowu puka nieśmiele jej ręka.

Daremnie czeka, nikt nie odpowiada,
I tylko echo pukanie powtarza;
Więc znowu uszko do domku przykłada...
I znowu puka do drzwiczek ołtarza.

Lecz i tym razem milczenie złowieszcze!
Więc dziecię stawia śmiałe zapytanie:
„Jezu! jesteś tu?“... I woła raz jeszcze:
„Jezu! jesteś tu?... odpowiedz mi Panie!“

Wielka moc wiary dziecięcia bez winy,
Bo ona nawet sercem Bożem włada!
Ledwo przebrzmiała ta prośba dzieciny,
A Jezus z domku tak jej odpowiada:

Jestem i pytam, czego chcesz kochanie?“
„Nic nie odmówię niewinnej dziecinie“.—
„„Nad ojcem moim zlituj się, mój Panie!
Patrz jak on grzeszy!... Jezu! niech nie zginie!““

„„Żebym ja mogła z mamą i z nim razem,
W wspólnej modlitwie chwalić Ciebie, Panie!
I klęcząc tutaj przed Twoim ołtarzem
Z rodziców prośbą złączyć me błaganie.““

„Dziecino moja, ufaj, Jezus rzecze,
Stanie się zadość żądaniu twojemu,
Ojca nawrócę, i rany uleczę,
Z grzechów oczyszczę, i przebaczę jemu“.

Dzięki raz jeszcze!""... I uradowana
Śpieszy do domu, bo wie; że już wina
Ojcu od Boga będzie darowana.

Dziecina ufność położywszy w Bogu
Na wysłuchanie długo nie czekała,
Bo wkrótce potem na rodzinnym progu
Nawróconego Ojca powitała.

Wesele chińskie.

Ciekawe są zwyczaje w Chinach przy zawieraniu małżeństw. Opisuje to pewien podróżnik we francuskiem „Gil-Blas", podając o weselach chińskich następujące szczegóły:

Chińczycy żenią się w młodym wieku i zachowują przytem starannie stare zwyczaje (co im się chwali). Gdy rodzice chcą syna ożenić, zwracają się do osoby pośredniczącej, którą jest zwykle niewiasta.

Takie niewiasty jeżdżą po prowincyi i wywiadują się o dziewczętach, czy są ładne, jakie mają zdolności i cnoty itp. Takie niewiasty jednocześnie są roznosicielkami mody (chińskiej oczywiście) w najdalszych nawet kątach kraju.

Pouczają też one dziewczęta, jak się mają ubierać, jak brwi naczernić a wargi czerwono pomalować, jak się wogóle zachować, aby się przypodobać przyszłym mężczyznom. Uczą je także grania na gitarze i różnych wiadomości, potrzebnych dobrze wychowanej małżonce.

Gdy tak pośredniczka znajdzie i poduczy dziewczynę i uważa, że jest stósowna dla tego lub owego młodzieńca jako małżonka, wtedy powiadamia o tem rodziców tak dziewczęcia jak młodzieńca, i otrzymuje od nich tak zwane „padze", to jest dwie karty z czerwonego papieru; na jednej karcie napisane jest nazwisko, wiek, miejsce urodzenia i zdolności młodzieńca, na drugiej karcie jest napisane to samo co do dziewczęcia.

Z temi kartami pośredniczka udaje się do przepowiadacza przyszłości, który wróży i przepowiada, czy takie małżeństwo będzie szczęśliwe. Prorok ten bieże owe karty, oblicza wpływ księżyca i gwiazd i wydaje swój mądry sąd. Jeżeli u tego proroka wszystko się zgadza, wtedy największa trudność przy zawieraniu małżeństwa została przezwyciężona.

Komu zależy na tem, aby zamierzone małżeństwo przyszło do skutku, ten przez łapówkę, daną prorokowi, może wpływy księżyca i gwiazd pokierować na swoją korzyść. Jeżeli atoli prorok jest w złym humorze, tak, że ani łapówka weselej go usposobić nie może i odwrócić złych wpływów księżyca i gwiazd, wtedy oczywiście małżeństwo zamierzone skleconem być nie może.

Gdy wpływy księżyca i gwiazd się zgadzają ze szczęściem małżeńskiem przyszłej pary, wtedy pośredniczka otrzymuje wynagrodzenie pieniężne i podarki ze strony rodziców, bo od tej chwili małżeństwo jest już tak jak pewne. ców, którzy dotąd nic o całej sprawie nie wiedzieli, że mają zawrzeć związek małżeński. — Według starego zwyczaju matka oblubienicy ma dać swej córce wyprawę (posag), jeżeli nie ma syna; matki jednak, gdy syna nie mają, przyjmują raczej sierotę jakiego za syna, aby wyprawy córce nie dać.

Dzień wesela się zbliża; wzajemne grzeczności rodziców z jej i jego strony są coraz większe, prawdziwie chińskie. W dniu wesela młody pan udaje się wczas rano, po pierwszym zapianiu koguta, w towarzystwie wszystkich męskich krewnych do świątyni, gdzie na ołtarzu składa tablicę z wypisanemi na niej nazwiskami swych przodków, aby ich łagodnie względem siebie usposobić.

Ze świątyni idzie cały orszak do mieszkania młodej pani, a w orszaku niosą, choć za białego dnia, szereg latarni zapalonych na znak, że w starożytności Chińczycy w nocy się żenili przy blasku świateł. — Młoda pani, wystrojona, z wieńcem z kwiatów na głowie, czeka młodego pana na podwórzu. Ten, gdy przybędzie, daje naprzód teściowi swemu dziką kaczkę, która w Chinach uchodzi za symbol wierności i miłości — a następnie spotyka się ze swą oblubienicą, którą widzi zwykle po raz pierwszy w życiu; witają się obaj uroczyście, poczem klękają, oddając cześć niebu i ziemi.

I odtąd są już małżonkami na całe życie. Każdy z nich potem wstępuje do krzesła obnośnego, pięknie przystrojonego, ludzie biorą ich z krzesłami i w uroczystym pochodzie niosą przez ulice do ich nowego mieszkania. W pochodzie tym poza młodą parą niosą też wszystkie ich meble i sprzęty, a więc, łóżko, krzesła, lampę, sprzęty kuchenne itd.

Przyszedłszy przed nową siedzibę młodych państwa, on z największemi grzecznościami zaprasza ją, aby raczyła wejść z nim do tego domu.

W domu tym odbywa się następnie krótki bankiet, po którym goście zaraz się rozchodzą — i całe wesele się skończyło.

Humorystyka.

A to się zemścił.

— No cóż? Odpłaciłeś Julkowi za wyrządzoną ci obelgę?
— O jej, jeszcze jak!
— Zelżyłeś go nawzajem?
— Jeszcze więcej!
— Więc go obiłeś?
— Jeszcze gorzej!
— Na miłość Boga, człowieku, cóżeś z nim uczynił?
— Pożyczyłem od niego pięć marek.

* * *

Między małżonkami.

Żona: Czemu mi się tak przyglądasz?
Mąż: Bo tak ślicznie wyglądasz, kiedy masz usta zamknięte...

Drukiem i nakładem Jana Teski w Bydgoszczy. Redaktor odpowiedzialny Jan Szmańda w Bydgoszczy.